

## Wspomnienia z bitwy o Monte Cassino o. Franciszka Studzińskiego OP

Nadszedł wreszcie upragniony moment. Osiemnastego maja około południa podano wiadomość, że klasztor został zdobyty. Radość ogromna. Nie chciało się wprost wierzyć, że wszystko skończone. We wszystkich wstąpiło nowe życie – przypominamy fragmenty wspomnień o. Franciszka Studzińskiego, kapelana 2 Korpusu Polskiego generała Andersa.

Ks. Franciszek Adam Studziński urodził się 2 czerwca 1911 r. w Strzemieniu, powiat żółkiewski (dziś Ukraina). W roku 1928 wstąpił do zakonu oo. Dominikanów w Krakowie; święcenia kapłańskie otrzymał w 1937 roku. Po wybuchu II wojny światowej pełnił posługę duszpasterską wśród żołnierzy polskich. Był kapelanem 2 Korpusu Polskiego gen. Andersa. Przebył cały szlak bojowy od Monte Cassino, poprzez Ankonę do Bolonii. Po powrocie do kraju był represjonowany i więziony. Był odznaczony Orderem Wojennym *Virtuti Militari*, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu *Polonia Restituta*, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino, Medalem Wojska Polskiego, Gwiazdą za Wojnę, Gwiazdą Afryki, Gwiazdą Italii, Defence Medal, Medalem za Wojnę. Zmarł 2 kwietnia 2008 roku. Poniżej publikujemy fragmenty wspomnień o. Studzińskiego opisujące okres walk o Monte Cassino.

### Ofensywa

Jedenastego maja, gdzieś koło południa, podano do wiadomości, że w nocy o godzinie 11 rozpocznie się ofensywa. Czołgi wyruszą na linię pół godziny później. Choć na tę chwilę wszyscy czekali i było wiadome, że ona przyjdzie, to jednak teraz, gdy to nastąpiło, zapanowała głęboka powaga. Przez kilkudniowy pobyt w miejscu oczekiwania, będącym pod ciągłym ogniem nieprzyjacielskim, każdy żołnierz miał czas zorientować się, co go czeka, gdy zacznie się ofensywa. Zapowiedź ofensywy wywarła więc duże wrażenie. Pamiętając o zaleceniu lekarza, żołnierze zaczęli się myć i ubierać w czystą bieliznę, aby w razie zranienia nie następowało zakażenie. Uczyniłem to samo.

Pod wieczór tegoż dnia, już po zachodzie słońca, udałem się do dowódcy pułku, ppłk. Glińskiego z prośbą, aby mi pozwolił udzielić żołnierzom zbiorowo ogólnego rozgrzeszenia. Dowódca był tym zaskoczony i nie chciał się zgodzić, gdyż według niego mogłoby to pozbawić żołnierzy odwagi i ducha bojowego. Odpowiedziałem mu na to, że jestem innego zdania. Żołnierz bowiem mając przez rozgrzeszenie spokój w duszy, będzie tym rozważniej skupiał całą uwagę na walkę z wrogiem, i w ten sposób zapewni sobie łatwiej zwycięstwo nad nim. Nie przekonywało go to jednak, więc uciekłem się do ostatecznego argumentu, a mianowicie do tego, że moje postępowanie jest uzgodnione z kapitanem Iwanowskim, jego zastępcą, który mi oświadczył jeszcze w Venafro, że gdybym nie chciał przyjechać przed ofensywą na linię z rozgrzeszeniem dla żołnierzy, to mnie w worku tam dostawi. Wobec takiego postawienia sprawy dowódca ustąpił, zastrzegł sobie jednak, abym nie zbierał wszystkich żołnierzy od razu, ale grupami, by czasem nie stało się jakieś nieszczęście.

Rozgrzeszenie poprzedziłem krótkim przemówieniem, w którym tak mniej więcej przemówiłem do żołnierzy:

Moi drodzy żołnierze! Wiecie, co nas czeka! Jak ciężka walka z wrogiem stoi przed nami. Walka ta będzie wymagała od was uwagi i skupienia. Niedobrze byłoby, gdybyście w tym momencie mieli jeszcze przeżywać jakieś obawy sumienia i przeprowadzać z sobą porachunki wobec Boga, bo to przeszkadzałoby wam w skoncentrowaniu waszej uwagi, która tak wam będzie potrzebna. Dlatego dobrze będzie, gdy teraz tę sprawę sumienia załatwicie, wzbudzając żal za grzechy i przyjmując ze skrucłą rozgrzeszenie. Mając tę sprawę za sobą, oddacie się całkowicie ze spokojem w duszy sprawie zwycięstwa nad wrogiem i w ten sposób najprędzej je osiągniecie.

Po tym krótkim wyjaśnieniu kazałem żołnierzom uklęknąć i wzbudzić sobie żal za grzechy. Z rozgrzeszenia skorzystali wszyscy: żołnierze i oficerowie. Wśród tych ostatnich klęczał kpt. Iwanowski, dzięki któremu przede wszystkim sprawa doszła do skutku. Ale nie wszystkim moim żołnierzom mogłem udzielić rozgrzeszenia, bo część pułku, mianowicie 1 kompania por. Bortnowskiego, miała przybyć w ten rejon dopiero w nocy. Dlatego bezpośrednio potem udałem się na stanowisko sąsiadującego z nami pułku artylerii polowej z prośbą do jej kapelana ks. Waculika, by po moim odejściu z oddziałem na linię przyszedł w nocy w rejon wyczekiwania mego pułku i udzielił tej kompanii rozgrzeszenia. Musiałem się o to postarać, bo załatwienia tej sprawy domagał się ode mnie dowódca kompanii, por. Bortnowski, który do mnie powiedział: „Co, my gorsi, abyśmy nie mieli otrzymać rozgrzeszenia? Ja się na to nie zgadzam!”

Załatwiwszy tę sprawę, odczułem ulgę, że zrobiłem, co do mnie należało. Po wyjściu ze schronu artyleryjskiego zaskoczony byłem ciemnością, która zaległa cały teren. Nie wiedziałem wtedy, że spowodowano ją sztucznie przez zapalenie dodatkowych świec dymnych. Miałem nawet obawę, czy w takiej ciemności w ogóle trafię do swoich. Ale jakoś, potykając się po nierównościach terenu i zaczepiając o gałęzie, doszedłem do nich.

W momencie, gdy stanąłem u siebie, w tę bezwzględną nocną ciszę, trwającą w powietrzu już od wieczora i tak nienaturalną, że aż lękiem napawała, bo zdawała się mówić, że ten wieczór jest inny, że idzie coś nieuniknionego i straszego – więc dotychczasowa i codzienna nękająca strzelanina jest niepotrzebna, wdarł się straszliwy zgiełk całej polskiej artylerii i sąsiadujących z nami Nowozelandczyków i Anglików. Przemawiało do wroga ponad 1000 dział różnego kalibru, skupiając swój ogień na kilkukilometrowym froncie, który mieli zaatakować Polacy. W powietrzu zakotłowało się, cała okolica huczała wystrzałami armat, wśród których wyróżniały się siłą wybuchów wystrzały bliżej stojących armat.

Poprzez huk armat słyszałem wypowiedziany donośnym głosem rozkaz lekarza, skierowany do sanitariuszy, aby weszli do schronu, bo Niemcy mogą na nasz ogień odpowiedzieć ogniem. Wszedłem i ja z nimi do schronu. Mieliśmy się przecież odtąd trzymać razem.

[...]

Dojazd do frontu w tym ogniu bardzo się dłużył. Zdawało się, że nie będzie miał końca. Przez cały czas jazdy panowała na wozie bezwzględna cisza. Nikt się nie odzywał. Około godziny drugiej w nocy znaleźliśmy się niedaleko dowództwa 5 Brygady Piechoty, które ulokowało się przy Drodze Polskich Saperów na zakręcie, oznaczonym na mapach literą „A”. Z położonego przed nami terenu walk, poczęli w tym czasie spływać ranni, pierwsze ofiary tej strasznej nocy. Na widok rannych ppor. dr Duma-Różycki zatrzymał wóz. Wysiedliśmy od razu wszyscy i zabraliśmy się do roboty. Okazało się, że jednego z rannych należało zaopatrzyć Olejami św., bo był w ciężkim stanie. Dotychczas już niejednego żołnierza zaopatrywałem na śmierć. Ale były to ofiary różnych tragicznych wypadków. Tu miałem przed sobą pierwsze bezpośrednie ofiary wojny. Jakże więc inny nastrój ogarniał mnie wówczas i teraz. Choć niejednym nieszczęsnym wypadkiem wstrząsał człowiekiem, pozostawiał jednak nadzieję, że może się nie powtórzyć – nie powinien się powtórzyć, gdy w tej chwili wiadomo było, że to zaledwie początek ofiar, bo walka dopiero się zaczęła.

Gdy skończyliśmy zaopatrywać pierwszą grupę rannych, stanął przed nami jakiś podchorąży z jednym jeszcze żołnierzem, mówiąc, że na przodzie u ułanów są ranni, a nie ma lekarza. Dziwnym się nam to trochę wydawało, ale postanowiliśmy do nich pójść. Podzieliliśmy się na dwie grupy. Przewodnikiem moim był żołnierz, który twierdził, że też drogę zna. Doprowadził mnie do samej niemal linii nacierających Polaków, ale gdzieś mi się nagle zapodział i do rannych ułanów nie dotarłem. Za to sam znalazłem się wkrótce w bardzo przykrej i niebezpiecznej sytuacji, bo wśród bunkrów niemieckich. Jedyne wyjście było wrócić jak najprędzej do swoich, ale nie było to łatwe, gdyż nie orientowałem się w terenie. Idąc za żołnierzem, uważałem raczej na to, aby trzymać się białej taśmy, wyłożonej po trawie przez

saperów, którzy w ten sposób zaznaczyli dla nacierających przejścia w polach minowych. Teraz chcąc powrócić na pułkowy punkt opatrunkowy, musiałem iść takim samym sposobem.

Tymczasem po ciemku nie mogłem natrafić na taśmy, do tego jeszcze kierunki mi się jakoś pomieszały. Krążyłem więc wokół tego samego miejsca. Stąd powrót mój na pułkowy punkt opatrunkowy trwał dosyć długo, ale nie tylko ze względu na to, że błądziłem przez jakiś czas, lecz i dlatego, że musiałem po drodze zaopatrywać napotykanym rannych. Wzywali mnie do nich ich koledzy, którzy rozpoznawali mnie z daleka po koloratce, którą nosiłem. Fakt ten zaważył, że odtąd już zawsze miałem ją na froncie.

Przy jednym z rannych żołnierzy z 18 batalionu przeżyłem prawdziwy wstrząs. Żołnierz ten był ranny w głowę i w nogi. Te ostatnie, gdy go znalazłem, miał już pozawijane szmatami, ale głowa świeciła wielką raną. Widać z tego było, że był ranny najpierw w nogi i te zdołał jeszcze jakoś pobandażować, ale głowy już nie, gdyż odłamek, który go z kolei zranił, wyrwał mu na skraju czoła kawał kości wielkości dłoni. Uszkodził mu przy tym mózg, o czym świadczył paraliż jednej strony ciała. Człowiek ten jednak mówił jeszcze do mnie i spowiadał się, choć wydawało mi się, że mówię do pustej głowy. W zranionym bowiem czole nie widziałem mózgu, widniała jedynie pusta dziura. Było to straszne. Lekarze, którym to zdarzenie później opowiedziałem, tłumaczyli, że prawdopodobnie mózg na skutek otwarcia czaszki i chłodu skurczył się, albo po prostu część jego została z kością wyrwana, dlatego: nastąpił paraliż. Biedak jednak mówił, bo ta część mózgu, z którą jest związana mowa, nie była uszkodzona. Przed śmiercią wyznał

mi, że jest z Poznańskiego i że w domu pozostawił pięcioro dzieci. Wyznanie to było nowym dla mnie bólem, bo wyobrażałem sobie, co ranny przeżywał na wspomnienie swojej rodziny.

[...]

Nie mając własnego punktu sanitarnego, przenieśliśmy się do piechoty i zatrzymałem się przy lekarzu, którego nazwiska dziś nie pamiętam, a który był prawdziwym bohaterem. W sytuacji bardzo ciężkiej działał ze spokojem i rozwagą. Było to niezmiernie potrzebne, gdyż rannych spływało koło południa coraz więcej. Nie mieliśmy wątpliwości, że natarcie nasze załamało się, i że kosztowało nas bardzo dużo ofiar. Nie mogąc przyjść z pomocą wszystkim rannym, lekarz ów wybierał tych, którym doraźna pomoc była bezwzględnie potrzebna, bo bez niej nie mogli by dotrzeć do W.P.O. gdzie dawano krew. Tych więc opatrywał, innych przepuszczał. Zacząłem czynić przy nim to samo z ostatnią pomocą. Zająłem się najbardziej potrzebującymi, gdyż dla wszystkich nie miałem czasu, było ich za dużo, choć Ostatnie Namaszczenie udzielałem rytem skróconym. Tylu rannych wieziono i niesiono w tym czasie z góry. Strumień cierpiących płynął i płynął. Zdrowych brała rozpacz, co będzie dalej. Ciężkie to były chwile dla mnie, najcięższe w całej ofensywie. Około godziny 14 napływ rannych nieco zelżał. Sytuacja na froncie też się poprawiła. W serca wszystkich wstąpiła znowu nadzieja zwycięstwa.

W tym czasie przyjechał do dowództwa 5 brygady gen. Szyszko-Bohusz, zastępca dowódcy korpusu. Generał podchodził do wszystkich i wypytywał się każdego, jak to w nocy było. Rozmawiał i ze mną o moich nocnych przejściach i z zainteresowaniem słuchał moich

spostrzeżeń co do zamaskowanych bunkrów niemieckich, które wskutek nierozpoznania ich w nocy dały się później tak bardzo we znaki naszym żołnierzom, gdy nad ranem Niemcy ruszyli do kontrnatarcia.

[...]

Następnego dnia obudziłem się bardzo wcześnie. Zabrałem się zaraz do odmawiania brewiarza [...]. Panował względny jeszcze spokój na linii. Nie było też w tym czasie zazwyczaj i rannych. Nic więc nie przeszkadzało w modlitwie.

Przez następne dwa dni pozostawałem na tym samym miejscu, choć stawało się to coraz bardziej trudne i niebezpieczne. Nie było już też lekarza, z którym tak mi się dobrze pracowało w pierwszym dniu ofensywy. Postąpiłem tak dlatego, że pozostając na tym miejscu, miałem możliwość zaopatrzenia każdego rannego. Napływ rannych był oczywiście o wiele mniejszy, niż w pierwszym dniu, ale stale ich przybywało. Wśród nich było wielu takich, którzy dopiero po kilku dniach doczekali się pomocy.

Czuwając na Drodze Polskich Saperów, zauważyłem jak jeden z żołnierzy z oddziału *ppanców*, które przeznaczone zostały do noszenia amunicji, niosąc za każdym razem po sześć ciężkich pocisków moździerzowych, ważących w sumie do 60 kg, zatrzymywał się spokojnie przy drodze i patrzył ze zdumieniem w oczach na ciągnący się korowód rannych. Widać było, że przeżywał głęboko to wszystko, co się tu działo. Ale po chwili chwycił znowu za wiązki pocisków

moździerzowych i szedł dalej, bo przecież amunicja była potrzebna, walka trwała. Do widoku tego żołnierza wszyscy się już na tym punkcie przyzwyczaili podziwiając jego wytrwałość. Niestety! I on wkrótce dołączył do tego korowodu rannych, któremu stale się przyglądał. W pewnej chwili bowiem uderzył w pobliską skałę pocisk i żołnierz dostał odłamkiem w pierś. Usiadł na kamieniu i trzymając się za pierś zaczął silnym głosem wołać o ratunek. Wołanie jego „ratujcie mnie” rozległo się po górach. Pobiegliśmy do niego. Sanitariusze założyli mu bandaż na ranę, ja udzieliłem Ostatniego Namaszczenia, bo go naprawdę potrzebował. Żołnierz przycichł. Widać, siły go opuszczały. Ogarnęło go przerażenie, przecież jeszcze przed chwilą był silny i zdrowy. Na jego czole, jak u każdego zaszokowanego, wystąpił zimny pot. Sanitariusze znoszą go do drogi i dołączają do transportu tych, dla których nie tylko wojna, ale i życie dobiegło końca [...].

Po kilku dniach, gdy pułk po otrzymaniu nowego lekarza założył znowu swój punkt opatrunkowy, powróciłem do niego – czyniłem to tym chętniej, że było mi już ciężko żyć poza swoimi i korzystać stale z łaski innych oddziałów jeśli chodzi o żywność, której dowóz nie był znowu tak łatwy. Na pułkowym punkcie sanitarnym przyjęto mnie z radością. Z miejsca poczułem się lepiej, tym bardziej, że w razie czegoś miałem się nawet gdzie schronić, gdyż nowy lekarz, por. Jan Dudek, postarał się o schron dla punktu sanitarnego. Była to płytka jama, którą z góry przykrywał czołg. Nie był więc wygodny, ale pogłębić tej jamy nie mogliśmy, bo w tym właśnie miejscu zostali pogrzebani Nowozelandczycy i przy dalszym wybieraniu piasku natrafiono na nich. Boki czołgu założono workami z piaskiem. Cały schronik wysłano kocami, które izolowały nas od ziemi przesiąkniętej wyziewami trupów. Poruszaliśmy się w schronie tylko pełzając. Potrzeba było prawdziwej sztuki, aby w razie zaskoczenia przez ogień artylerii nieprzyjacielskiej załoga punktu sanitarnego mogła jak najprędzej wślizgnąć się do

schronu. Dokonać tego można bowiem było jedynie wchodząc pojedynczo. Nie było czasu na jakieś względy. Kto był bliżej schronu ten pierwszy dawał nura w jego niewygodny otwór, posuwając się szybko na drugi koniec, aby zrobić miejsce następnemu. To właśnie spowodowało, że od razu przeszliśmy z lekarzem na „ty”, choć przedtem nie znaliśmy się zupełnie, gdyż w krytycznej sytuacji wołał jeden na drugiego: „właż” – i tak już zostało. Do schronu mieli prawo: komendant czołgu, jego kierowca, lekarz, dwaj sanitariusze i ja. Ale bardzo często lokatorów jego było znacznie więcej, bo do tej dziury pchał się każdy, kto tędy przechodził i został zaskoczony nagle nieprzyjacielskim ostrzeliwaniem. Często i miejsca w schronie zabrakło, leżeliśmy wówczas jak śledzie w beczce. Gdy zaszła potrzeba wyjścia do rannych musieliśmy po prostu przełazić po drugich.

Długo w noc trwały nieraz u wylotu naszego schronu rozpoczynane raz po raz z przechodzącymi tędy żołnierzami rozmowy na temat tego, co dzieje się na linii. Były to przeważnie ciche tylko szepty. Ale i one ustawały, gdy pociski padały naokoło nas albo nawet dzwoniły bezpośrednio po ścianach naszego schronu-czołgu swymi odłamkami lub wyrzucanymi z ogromnych lejów kamieniami. Każde takie uderzenie w czołg, podobne do uderzenia młota o żelazną sztabę, przeszywało ucho nieprzyjemnym dźwiękiem. Nocą ostrzeliwano nas z ciężkich dział pociskami z opóźnionym zapalnikiem. Pociski te miały większą moc przebijania. Nie czuliśmy się przeto w naszym schronie zupełnie bezpieczni. Istniała obawa, że tego rodzaju pocisk może przebić dno czołgu, a wtedy nie pozostałoby z nas dosłownie nic. Czołg bowiem nie posiadał wieży pancерnej i był tak zwanym mostem, dlatego nie brał udziału w bitwie.

Podczas jednego takiego nocnego ostrzeliwania odczułem w sobie jakieś dziwne uczucie. Przejmujące zimno zaczęło przepływać przeze mnie od nóg do głowy i z powrotem. Staralem się temu jakoś przeciwdziałać, przekonując samego siebie, że jako ksiądz nie powinienem się lękać itd., ale uspokojenie nie przychodziło. Szukając niejako oparcia, przytuliłem się mocniej do leżącego obok mnie żołnierza. Okazało się jednak, że i on cały drżał ze strachu. Zamiast współczuć biedakowi, poczułem jakąś wewnętrzną satysfakcję, że ktoś jeszcze więcej boi się niż ja. To mnie uspokoiło i z miejsca zasnąłem. Przez sen tylko słyszałem jak obok nas wybuchały wciąż nowe pociski.

Praca na punkcie miała w tym czasie charakter bardziej zorganizowany, niż w dniach poprzednich, ale i napływ rannych zmalał. Smutne było to, że wciąż jeszcze natrafiano na rannych z pierwszych dni ofensywy. Byli to nieszczęśliwcy, którzy musieli długo czekać na pomoc w różnego rodzaju zagłębieniach, zanim ich ktoś tam znalazł. Strasznie wyglądali. Usta mieli spalone z gorączki. Wzrok mętny. Obojętnie patrzyli na wszystko. W większości wypadków byli przytomni. Jeżeli żyli, to tylko dlatego, że po zranieniu sami założyli sobie bandaże i zatamowali uchodzącą krew. Gdy w jednym takim wypadku uniosłem koc z nóg rannego, zauważyłem kłębowisko robaków, które zdążyły się już rozmnożyć w jego ranach. Widok był odrażający, a jednak człowiek ten żył. Kiedy to opowiedziałem lekarzowi, ten mi wytłumaczył, że właśnie dzięki tym robakom mógł ranny tak długo żyć, gdyż zjadają one tylko martwą tkankę, tym samym ratują człowieka przed zakażeniem. Lekarz opierał swe twierdzenie na doświadczeniach medycyny francuskiej. Niemniej tego rodzaju widok jest wprost wstrząsający. Pod koniec ofensywy jedno pragnienie przejmowało wszystkich, aby to wszystko wreszcie się skończyło i przyszedł odpoczynek. Pragnienie zwycięstwa było oczywiście najmocniejsze. O niczym innym nie mówiło się.

Nadszedł wreszcie upragniony moment. Osiemnastego maja około południa podano wiadomość, że klasztor został zdobyty. Radość ogromna. Nie chciało się wprost wierzyć, że wszystko skończone. We wszystkich wstąpiło nowe życie. Rzucano się do oglądania tego strasznego klasztoru. Za innymi poszedłem i ja. Po drodze oglądałem Gardziel, Mass Albanetę. Wszystko leżało jeszcze nietknięte tak, jak pozostawili Niemcy, wyglądało jednak jakby zmarłe. Takie wrażenie dominować będzie i potem na widok każdego opuszczonego przez wroga terytorium, zanim nie zostanie ono zagospodarowane przez swoich. W Gardziel, tylekroć wymienianą w bojowych dziennych rozkazach, tyle wsiąkło polskiej krwi, zwłaszcza biednych saperów! Chcieli ją za wszelką cenę rozminować aby ułatwić przejście czołgom do przodu. Na przeszkodzie stał spalony czołg śp. por. Bialeckiego. Wyleciał na minach. Obok czołgu leżała jego wieża, która choć ważyła 9 ton, została przez wybuch amunicji w czołgu zdmuchnięta z niego jak piórko.

Za Gardzielą teren rozszerzał się. Pokrywały go czerwone maki. Tylko gęste rozsiane leje po wybuchach pocisków armatnich i moździerzowych oraz porzucone wraki czołgów amerykańskich, przy których leżały jeszcze szerniałe trupy wybitych ich załóg, świadczyły, że po tej pięknej ziemi przechodziła niszczycielska śmierć. Nieco dalej na prawo od łączki i prowadzącej do klasztoru dróżki leżała Mass Albaneta, a na niej zabudowania folwarczne klasztoru. Stamtąd to właśnie mając wgląd w Gardziel, likwidowali Niemcy każde wychylenie się z za garbu Gardzieli [...]

Cały ten teren starć, z klasztorem włącznie, nosił na sobie ślady zmagania się i zniszczenia. Wśród lejów od bomb i walających się gęsto dziwacznie powyginanych ich czerepów sterczały tu i ówdzie kikuty po dawnych dębach rosnącego tu niegdyś lasu. Osmalone i odarte z kory wznosiły w niebo resztki połamanych gałęzi jakby ramiona, wołając o pomstę za swe pogńębienie. Wśród tego wszystkiego, już bliżej klasztoru, stały niemieckie rozbite czołgi, które właśnie spowodowały zbombardowanie klasztoru, ponieważ nocą podsuwały się pod mury klasztoru i spod ich osłony strzelały w stronę aliantów. Przez wyłom w murze, który od strony gór w dużej mierze ocalał, gdyż był zasłonięty od doliny rzeki Rapido, skąd szedł na klasztor przez cały czas ogień aliancki, dostałem się na teren klasztoru. Przedstawiał on kupę gruzu. Wśród zwałów ścian i sufitów sterczały z gruzów tu i ówdzie nadbite i połamane figury świętych. Z trudnością przychodziło ustalić plan klasztoru, przynajmniej temu, kto go przedtem nie widział. Krążąc po ruinach natrafiłem w południowym narożniku klasztoru na kaplicę św. Benedykta. Schodziło się do niej po wielu schodach. Na ołtarzu stały sterty konserwowych puszek. Kaplica służyła widocznie Niemcom za magazyn żywnościowy. Wśród ruin dostrzegłem mały składzik nowych książek. Wyciągnąłem z piasku egzemplarz żywota św. Benedykta i św. Scholastyki, oraz kilka małych obrazków. Pomyślałem sobie, że wojna może wiele rzeczy zniszczyć, ale ducha zawartego w tych książkach na pewno nie, bo wypływa on z Ewangelii, głoszącej miłość bliźniego a nie nienawiść. I do tej miłości musi ludzkość wrócić, jeżeli nie chce wzajemnie się wygubić.

Podobnie jak z kaplicą postąpiono i z szatami liturgicznymi. Natrafiłem bowiem na schronik niemiecki, wyścielony ornatami. Hitleryzm podejmował więc walkę z wszelkimi wartościami, a to wzbudzało taką odrazę i zgrozę.

Dolne korytarze klasztoru i jego piwnice, przywalone wysokimi zwałami gruzu, mówiły, że można się tu było jeszcze długo bronić, gdyż artyleria i bomby przerzucały właściwie tylko gruz ze sterty na stertę. Pod zwałami gruzu znalazłem miejsca nietknięte. Załoga klasztoru miała więc wszystko, żywność i amunicję. Nie brakowało jej i wody, gdyż do końca była czynna znajdująca się w dolnym korytarzu studnia. Po godzinnym wałęsaniu się po ruinach klasztoru pełen smutnych i przykrych wrażeń postanowiłem wrócić do swoich. Opuszczając teren klasztoru, wyciągnąłem ze żwiru i piasku ornat, który zabrałem ze sobą. To samo uczyniło wielu żołnierzy [...].

Ogarnęła mnie jakaś dziwna apatia. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca, co z sobą począć, tym bardziej, że na punkcie sanitarnym nie było już żadnego niepokoju pracy. W pewnym momencie zauważyłem, że nie ma lekarza. Zapytałem sanitariusza, który odpowiedział: „Poszedł za Gardziel”. Stwierdziłem głośno: „Chodziliśmy zawsze ze świstem, razem”. Odpowiedział: „sam poszedł” – i w tym momencie w Gardzieli duży pocisk przeszył z wielkim hukiem [...]

Niedługo potem wybiega na garbek Gardzieli lekarz i wzywa do siebie sanitariusza i sanitarkę. Nie było wątpliwości, coś się tam stało. Ruszyła z miejsca sanitarka, pobiegli sanitariusze. Ja chwilę poczekałem na miejscu. A kiedy nie nadjeżdżali, udałem się również w tym samym kierunku. Spotkałem się z powracającą sanitarką, niestety, załadowaną rannymi. Obok kierowcy siedział z zabandażowaną ręką lekarz, por. Jan Dudek, i podchorąży Szkoda z urwaną ręką. Na noszach zaś leżeli ranni kpt. Drelicharz i por. Bortnowski. Dowiedziałem się równocześnie, że na miejscu wypadku pozostał kpt. Iwanowski. Duży odłamek pocisku wbił się poprzez ramię głęboko w jego pierś, powodując śmierć na

miejscu. Por. Bortnowski prosił, abym się tam jednak udał i udzielił zmarłemu Ostatniego Namaszczenia. Byłem tym do głębi wstrząśnięty. Na najbardziej przybitego wyglądał por. Bortnowski. Patrząc na mnie powiedział: „wszystko skończone”. Zrobił przy tym tego rodzaju ruch głową i ręką, że nie było wątpliwości, co przez to rozumie. Lekarz siedzący u jego głowy dawał mi równocześnie na migi znak, że stan rannego jest poważny. Zaproponowałem rannemu porucznikowi spowiedź i Ostatnie Namaszczanie. Skorzystał chętnie z tych religijnych pomocy. Zaczął się modlić, ale tak, że w słowa swojej modlitwy włożył całą swoją piękną duszę. Tak modlić może się tylko człowiek głęboko wierzący. Dziwna rzecz, że śp. por. Bortnowski, choć był żywego usposobienia, to jednak w ostatnich dniach tuż przed ofensywą stał się nadzwyczaj poważny. Przy tym dbał jeszcze więcej, niż zwykle, o swoich żołnierzy. Zachęcał ich ustawicznie do spania, bo żołnierz na froncie, jak mówił, o ile nie walczy, to śpi, po prostu na zapas, bo nie wie, kiedy przyjdzie mu znowu walczyć i czuwać i jak długo pozostanie bez wypoczynku.

Po odjeździe smutnej karawany z rannymi udałem się na miejsce tragicznego wypadku. Pomiędzy czołgami, gdzie, jak się później dowiedziałem, odbywała się odprawa, leżał na wznak śp. kpt. Iwanowski. Oczy miał otwarte i pełne zgrozy. Usta były lekko rozchylone. Na ramieniu nowego munduru, w który się kapitan bezpośrednio przedtem przebrał, czerniała zakrzepła krew. Leżał więc w zaprasowanym mundurze, jakby się specjalnie na śmierć przebrał, choć naprawdę uczynił to w przekonaniu, że wszystko już się na Monte Cassino skończyło! Nie przypuszczał, że on właśnie będzie jednym z ostatnich, który zginie w bitwie o klasztor. Stało się to 18 maja po południu, w kilka godzin po zajęciu klasztoru przez Polaków. Tak więc do wielkiej radości, jaką żołnierze naszego pułku przeżywali z racji zdobycia Monte Cassino, dołączył się i smutek. Śp. kpt. Iwanowski był

ogromnie lubiany przez swoich żołnierzy. Nie wyobrażano sobie w ogóle 4 Pułku Pancernego bez kpt. Iwanowskiego. A nie wiedziano jeszcze wtedy, że w tym samym czasie tracił pułk i por. Bortnowskiego, który był prawą ręką kapitana. Por. Bortnowski bowiem, choć dowieziony na G.P.O., nie doczekał się swej kolejki na stół operacyjny i zmarł z upływu krwi.

Po skończonej bitwie D-ca 5 KDP meldował:

*Zastępca Dowódcy 5 KDP  
Dnia 18 maja Dowódca 2 Brygady Pancernej w mp.*

*Melduję Panu Generałowi, że zachowanie się w boju kpt. Iwanowskiego, rtm. Drelicharza, kpt. Dzieciołowskiego i ks. kpt. Studzińskiego, zasługuje na najwyższe odznaczenie bojowe.*

*Brali oni wybitny udział w natarciu 5 KDP na czele swych czołgów i proszę Pana Generała o wystąpienie z wnioskiem o odznaczenie ich Krzyżem Virtuti Militari V kl.*

*(—) Rudnicki Klemens  
płk dypl.*

W dniu radości z odniesionego zwycięstwa po tylu koszmarnych dniach walki zasypialiśmy ze smutkiem z powodu rozbicia dowództwa pułku i po stracie ogólnie lubianych oficerów. Noc przyniosła pewną ulgę nerwom. Sytuacja na prawo od nas też się wyjaśniła, gdyż Niemcy wycofali się z St. Angelo. Jedynym widokiem walki w tym dniu był

pościg dwu myśliwców angielskich za samolotem niemieckim, który gdzieś się tu zaplątał i którego Anglicy zmusili do lądowania po swojej stronie.

**Źródło:** ks. Franciszek Adam Studziński, „Wspomnienia z bitwy o Monte Cassino”, [w:] *Wspomnienia wojenne kapelanów wojskowych 1939-1945*, Warszawa 1974, s. 406-427. Skróty i opuszczenia pochodzą od redakcji.

*fot. Archiwum Polskiej Prowincji Dominikanów*